Ner 12. Kraków 15 grudnia 1866. Rok I.



**Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.**

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.— Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 złr. 20 c., *półrocznie* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocznie* 1 złr. 80 c. — *Prenumerata zagraniczna* bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w.a. **Mody i kroje** *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocznie* 90 c. w. a.

**Nuty** rocznie 1 złr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

*W Krakowie* prenumerować można w biórze redakcyi: ul. mikołajska 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha.

*We Lwowie* można prenumerować i odbierać w ajencyi Hercoka i Arnolda na Halickiém

*W Poznaniu* w księgarni Mieczysława Leitgebra, Hotel du Nord.

**Inseraty** (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

# Od Redakcyi.

Wzrastająca z każdym dniem liczba Prenumeratorów, przekonując nas, że pismo tego rodzaju było pożądaném i potrzebném, pozwala nam zarazem uwzględniać wymagania Sz. Czytelniczek i zaprowadzać stopniowo ulepszenia i zmiany **bez podwyższania prenumeraty**.

Od 1go stycznia 1867 będzie wychodzić „KALINA“ na **welinowym papierze**. — Pozostajemy przy programie jakiśmy sobie założyli. Pojedyńcze części jego zwolna wprowadzać będziemy, aby pismo nie było jednostronném. — Zapewniliśmy sobie stałe korespondencyje z Wiednia, Warszawy i Paryża, jak również sprawozdania z powszechnéj wystawy paryzkiéj. — Będziemy się starali przyozdabiać od czasu do czasu pismo nasze ilustracyjami, zwłaszcza w objaśnieniu artykułów z przyrody. — Szczególną zwróciliśmy baczność, aby **rubrykę mód i krojów** robić coraz praktyczniejszą; podamy w styczniu jeszcze raz szczegółowy opis sposobów zastosowania pomniejszonych wzorów, a na odwrotnéj stronie arkusza krojów ***dokładny szemat redukcyjny***, *obejmujący naturalne rozmiary ciała, począwszy od dzieci, aż do słusznych figur*. Będziemy również podawać ***wzory deseni*** i ***ubiorków na głowę***.

Czyniąc zadosyć licznym zgłaszaniom się, zawarliśmy stosunki z odpowiedniemi zakładami i uwiadamiamy: że *przyjmujemy do załatwiania* wszelkie sprawunki i komisa damskie, toaletowe, krawieckie. modniarskie, księgarskie itd. Osobno do tego ustanowiony zarząd kobiecy, będzie się starał uiszczać najlepiej i najpunktualniéj.

W celu uzupełnienia zadania pisma naszego, w celu zadosyćuczynienia na obszerniejsze rozmiary tak umysłowym jak i praktycznym wymaganiom kobiet — co u nas dotąd jeszcze w ramy żadnego wydawnictwa nie wchodziło, ogłaszamy niniejszém jako dodatek przy „KALINIE“:

## ☛ Wydawnictwo BIBLIOTEKI dla kobiet. ☚

Biblioteka dla kobiet obejmować będzie trzy działy:

I. Arcydzieła z literatury pięknéj — bądź oryginalne, bądź w przekładach.
II. Rzeczy dotyczące wychowania i całego utrzymania domu, przedstawiane przystępnie i z należytą gruntownością.
III. Stosowne przedruki z literatury dawniejszéj z objaśnieniami.

W przeciągu roku wyjdzie „Biblioteki dla kobiet“ **50 arkuszy druku.**

Odnośnie do powyższych trzech działów wchodzą w bieżący program następujące przedmioty: *Podręcznik do dziejów literatury polskiéj aż do 19go wieku*, obejmujący treściwe poglądy na epoki a obszerniejszy rozbiór prac, których wartość i znaczenie z czasem nie przemija. — *Przewodnik w literaturze polskiéj 19go w.* — *Wypisy polskie*, obejmujące ułożone w historycznym porządku wyimki z celniejszych autorów i autorek polskich — do użytku praktycznego tak w domu jak i po zakładach wychowawczych. — *Lew zakochany*, komedyja Fr. Ponsarda. — *Wybór*

*poezyj Heinego.* — Przekład polski jednéj z najnowszych, a u nas nieznanych powieści francuzkich. — *Wybór pism pani Sevigné.* — *Wychowanie dziewczat* podług sławnego dzieła Henryka Martin. — *Dom*, księga praktyczna, obejmująca następujące rozdziały: podział czasu i pracy, zarząd, domowe gospodarstwo miejskie i wiejskie, kuchnia, spiżarnia, piwnica, kredens, apteczka, służba, goście. — Katalog wskazówkowy polskich i obcych dzieł we wszystkich przedmiotach wchodzących w zakres wychowania dziewcząt.

„Bibliotekę“ można prenuwerować albo jako dodatek w biórze „KALINY“ i we wszystkich jéj ajencyjach — albo téż osobno przez księgarnią Franciszka Grzybowskiego w Krakowie, a za pośrednictwem wszystkich księgarni.

Prenumerujący jako dodatek, będą ją odbierać razem z „KALINĄ“, arkuszami.

Prenumerujący osobno mogą odbierać również arkuszami, albo każde dzieło po skończeniu.

**Prenumerata** na **Bibliotekę dla kobiet** wynosi rocznie 6 Zł. w. a. — półrocznie 3 Zł. w. a. — ćwierćrocznie 1 Zł. 50 c. w. — miesięcznie 50 c. w. a.

---

☞ Upraszamy o wczesne zamówienia tak na „Kalinę“, jak i na „Bibliotekę dla kobiet“ — albowiem od tego zależy ilość nakładu — zwłaszcza mód i nut.

---

# MĘCZENNICA.

(POWIEŚĆ.)

przez

**Zofią z pod Karpat.**

## I.

## Dwór pański.

Hrabina R. siedziała przy toalecie, kończąc się ubierać — pokojowa podawała jéj czepeczek.

Przed dworem dał się słyszeć turkot powozu.

— Zobacz kto przyjechał — rzekła do służącéj.

Po kilku chwilach służąca wróciła.

— Kto taki?

— Guwernantka.

— Niech zaczeka... albo każ jéj pójść do pokoju panny.

— To będzie trudno, bo nie sama przyjechała.

— Któż jeszcze?

— Jakaś niemłoda pani, zdaje się matka.

— Pocóż matka? Cóż ona tu chce robić? Niepotrzebny konwoj. — Podaj mi flakonik.

Hrabina przybliżyła twarz do zwierciadła i czerniła siwiejące już brwi.

— Więc cóż im powiedzieć, proszę jasnéj pani?

— Niech czekają — odrzekła hrabina obojętnie i znowu utopiła oczy w zwierciedle, rozpatrując się pilnie, gdzie jeszcze starzejące się wdzięki potrzebowały restauracyi.

Tymczasem dwie przybyłe kobiety czekały w salonie — chwile czekania były dla nich okropnie długie, upokarzające — nie wiedziały co począć, jak sobie tłomaczyć to zaniedbanie i lekceważenie ich przybycia, ale słowami nie spowiadały się przed sobą z tego przykrego wrażenia. Obie były blade tą bladością, jaką daje długie cierpienie, co ssie krew z twarzy i trawi, tylko na bladych ustach córki błąkał się przymuszony uśmiech, którym chciała zasłonić przed matką dziwny lęk i niemiłe uczucie, jakie owładnęło ją za wejściem do tego domu.

Wszedł lokaj, kobiety się spodziewały, że to do nich z jakiém poleceniem. Omyliły się; lokaj przypatrzywszy się im mimochodem, zbliżył się do stolika i szukał jakiejś książki.

— Mój przyjacielu — odezwała się matka zaschłym głosem — niewiesz gdzie tu nasz pokój — gdziebyśmy się mogły przebrać?

Lokaj ruszył ramionami. —

— Nic nie wiem — odrzekł obojętnie i wyszedł z książką.

Za chwilę w poblizkim pokoju odezwał się głos męzki silny, napięty od gniewu.

— Nie ta, mazgaju — i słychać było silne uderzenie książki o podłogę. — Że téż takiego głupstwa od ciebie mieć nie mogę. —

— Ależ jasny panie....

— Milcz.... idź precz!

I w téj chwili wpadł do pokoju dwudziestoletni młodzik, smagławéj twarzy, która teraz nieco krwią nabiegła. Czarne brwi zmarszczyły się od gniewu nad oczami. Ujrzawszy nieznajome kobiety, młodzieniec zmieszał się nieco i stanął — oczy jego spotkały się z błękitnemi oczami bladéj guwernantki, patrzącemi na niego z przestrachem. Jakaś dziwna siła trzymała jakiś czas na uwięzi ich spojrzenia — jak ostrze na ostrzu — było to tajemnicze pasowanie się dusz; wreszcie młodzieniec zawstydzony, pierwszy spuścił oczy i wyrzekł:

— Przepraszam. — Wziął ze stolika książkę, skłonił się i wyszedł.

Po jego odejściu matka spojrzała na córkę, która była nieco pomieszaną, oczy miała spuszczone ku ziemi, a bladą twarz lekko zarumienioną. Czemu? Ona sama nie mogłaby sobie odpowiedzieć na to, wytłomaczyć; coś podrażniło jéj serce, tak jak promień słoneczny

draźni oczy śpiącego, zdawało jéj się, że się z jakiegoś snu ocknęła, ale w przebudzeniu było jakieś złe, niewytłomaczone przeczucie. Ten niepokój zafarbował blade lica dziewczyny i powiekami nakrył jéj oczy.

— To zapewne syn — rzekła matka po chwili.

— Zdaje się — odrzekła cicho córka i niewiedzieć czemu nie śmiała patrzeć matce w oczy. Nigdy nie znała tego człowieka, a jednak nie mogła go uważać jako obcego, nie mogła o nim myśleć bez pomieszania i lęku, za którém kryło się jakieś przyjemne uczucie. Są ludzie, którzy od pierwszéj chwili czynią na zbliżających się wrażenie wstrętne lub porywające, jest to jakaś magnetyczna siła, przez którą silne duchy złe lub dobre objawia się światu. — Coś podobnego było tutaj.

Matka czytała myśli córki na jéj twarzy i zamyśliła się.

Obudził je obydwie wykrzyk miły i radosny — spojrzały. We drzwiach od ogrodu stała panienka w sukience — niby to jeszcze krótkiéj — ale już ze spuszczoną listewką, koło rumianéj twarzyczki trzęsły się czarne loczki. Twarzyczka nie była wcale piękną, rysy nieregularne, ale w całości wiele życia i wdzięku.

— A! — zawołała spostrzegłszy dwie damy — to może pani jest panną Joanną, moją guwernantką?

Ten głosik jak słoneczny promień wpadł w zadumane dusze niewiast.

— A co, zgadłam?

— Tak moja panienko — odezwała się matka — i rzewném, serdecznem spojrzeniem witała panienkę, która ze szczerą uciechą przybiegła do kanapy.

Drzwi skrzypnęły — weszła hrabina wyświeżona, odmłodzona, sztywna, dumna.

— Amelko, idź się ubierać — rzekła do swéj córki, skinęła kobietom i odezwała się tonem suchym:

— A, przyjechałaś panna — to dobrze, dziecko jest bez dozoru, od jutra trzebaby zacząć lekcyje, bo się Amelka bardzo zaniedbała.

— To moja matka — odezwała się Joanna, przedstawiając matkę.

Hrabina ledwie się skłonić raczyła i nieuważając na ten epizod, mówiła daléj:

— Panna piszesz nieźle, poznałam to z jéj listu, trzebaby Amelce wprawić rękę do dobrego pisania, bo dawna jéj guwernantka popsuła ją w tym względzie kompletnie. Panna rysujesz także?

— Tak pani.

— To dobrze, bo....

Nie dokończyła — jakiś elegancki powozik zajechał przed ganek, wyskoczył z niego średniego wieku mężczyzna, według wszelkich przepisów mody ubrany — piękny mebel do ozdoby salonu. Hrabina z pospiechem postąpiła ku drzwiom na powitanie i rozpoczęła z nim żywą rozmowę po francusku. Jakże zmieniła się ta twarz sztywna, lodowa, niby serwis soplicowski; twarde rysy pogięły się w uprzejmy grymas, dumne oczy zmrużyły się do kokieteryjnego uśmiechu, a zaciśnięte usta sypały teraz słowa i grzeczności bez miary.

Kobiety nie przedstawione siedziały na boku, hrabina i przybyły baron P. nie uważali całkiem na nie. Były to straszne moralne tortury dla nieśmiałych i tkliwych niewiast, pogarda deptała ich godność, plwała im w twarze rozpalone od wstydu — i trzeba było to przecierpieć bez jęku — w milczeniu. Matce żal było córki, córka była zmartwiona o matkę — była rozgorączkowana, w głowie był ogień, choć ręce wilgły od zimnego potu. Wreszcie skończyła się ta męka — wszedł lokaj, otworzył drzwi jadalnéj sali i rzekł:

— Proszę państwa do stołu.

Baron podał rękę hrabinie: przybyłe kobiety niezaproszone spojrzeniem pani domu zawahały się, czy iść czy zostać, wreszcie poszły i usiadły ostatnie przy końcu stołu. W jadalnym pokoju oprócz młodego hrabiego Adama i Amelki zastały ich ojca. Stary hrabia był ciemny, to kalectwo tém straszniejsze się wydawało na twarzy oszpeconéj ospą i drgającéj czasem kurczowo spazmatycznie. Amelka siedziała przy ojcu posługując mu i podając wszystko do ręki. Adam wmięszał się do rozmowy barona i matki, rzucając czasem krótkie, głębokie spojrzenia na guwernantkę.

Obiad trwał blisko godzinę. Kobietom, które nikt nie zaczepił rozmową, siedzącym z oczami spuszczonémi na talerz, ta godzina wydawała się okropnie długą. Wreszcie wstano od stołu i towarzystwo przeszło do ogrodu. Starego hrabiego wyprowadziła Amelka pod kasztany — usiadł w ich cieniu na czerwoném krześle i usnął, a może nie spał, ale zamknięte powieki wieczny sen kłamały przed ludźmi. Matka z córką poszły w głąb ogrodu — schowały się w ciemny klomb i usiadły na kamiennéj ławce.

Matka odetchnęła ciężkiém westchnieniem — Joanna zrozumiała mowę tego westchnienia, spuściła głowę ku ziemi i milczała.

— O moje dziecko, ciężko ci tu będzie przywyknąć.

— Nie mamo, to tylko tak w pierwszéj chwili — ja się oswoję. Amelka jest tak miła, łagodna — to dosyć.

— Ale matka, jakiż to lód. Twoja gorąca duszka zmarznie jak kwiatek przy niéj.

— To przyjadę wtedy rozgrzać się przy was. W naszéj cichéj izdebce w Krakowie, tam przy okienku pełném kwiatków, z klatką z kanarkami, gdzieśmy siadywały zawsze z robotą — odpocznę, nabiorę sił i wrócę.

— I tak będzie zawsze — wiecznie.

Córka nie umiała na to odpowiedzieć matce, nie umiała ją pocieszyć. W domu ich po śmierci ojca była bieda i niedostatek mimo skromnego życia. W końcu nie było za co opłacać mieszkania, nie było za co po-

syłać młodszego brata Joasi do szkoły. Matka jak mogła pasowała się z nędzą, ale daremno, szamotanie ją zmęczyło, opuściła głowę i ręce. Ostatnia suknia z dawnéj zamożności, gdy ją sprzedawala, wzbudziła w niéj strach i rozpacz o los dzieci. Joasia widziała to i postanowiła iść do obowiązku, aby rodzinę swoją wydźwignąć z biedy.

Nie pytajmy ile kosztowało dziewczynę to postanowienie; porzucić matkę, którą kochała całém niepodzielném sercem, z którą wiązała każde marzenie o szczęściu — iść między ludzi obcych, to była dla niéj rzecz straszna, nie mogła pomyśleć o tém bez wzdrygnienia, a jednak taiła to cierpienie przed matką, nie chciała, aby wiedziano za jaką cenę ratuje rodzinę. Matka, córka i syn przylgnęli do siebie, zrośli się w miłości w jedno; dziś nędza oddarła jedno od drugiego, rzuciła w świat. Przeznaczenie nie chciało osłodzić Joannie téj strasznéj rozłąki, dostała się między ludzi, którzy ją przestraszyli swoją dumą i chłodem, a jednak cofnąć się nie chciała i siliła się na odwagę w obec matki i udawała spokój, choć w piersiach było duszno, mętno, rozpacznie. Biedna męczennica.

Długo obie kobiety siedziały na kamiennéj ławce rozmawiając o domu, przypominając sobie najpiękniejsze chwile przeszłości. Zachodzące słońce rzucało na nie przez drzewa snopy złotego światła. Śliczny to był obrazek: te dwie kobiety pochylone ku sobie, ożywione miłemi wspomnieniami, to sklepienie ruchomych liści, szemrzących niby pacierz wieczorny i to słońce w głębi niby tło byzantyńskich obrazów. Ktoby się domyślił, że po za ramami tego obrazka stoi blady smutek i cierpienie bez słów.

Słońce się schowało, kobiety przypomniały sobie, że wracać trzeba ku dworowi, wzięły się więc pod rękę i rozmawiając szły w stronę, gdzie siedział hrabia; nie widziały go, bo był zasłonięty bzowemi krzakami. Stary hrabia jednak dosłyszał głos.

— Kto tam? kto tam mówi? Ja nieznam tego głosu — ktoś obcy.

— To ja — to my — odrzekła zmięszana Joanna.

— Ja, my — gdybym miał oczy toby mi wystarczyło: ale...

— Guwernantka — odrzekła Amelka zbliżając się ku ślepcowi.

— A, toś już przyjechała? Nic mi o tém nie mómówiono. A jak się nazywasz?

— Joanna Żarońska.

Hrabia rzucił się gwałtownie w krześle, ospowata twarz nabrzękła wzruszeniem, a nizkie czoło zmarszczyło się w nieforemne linije; rękami konwulsyjnie ściskał poręcz krzesła i nieprzyjemnie wykrzywił usta. Wyglądał jak człowiek, który patrzy na coś okropnego.

— Chodźmy — rzekła po cichu matka, nie chcąc przeszkadzać zadumaniu starca. Do tego widok ponurego ślepca w cieniu drzew i zmierzchu, jakiś strach budził w niewiastach.

— Tu jest ktoś więcéj.

— To moja matka, która mnie odwiozła.

— A — matka.

Tu zawahał się chwilę — potem spytał:

— A ojciec gdzie?

— Umarł.

— Umarł — powtórzył hrabia jak echo, ale głosem dziwnym, grobowym; twarz jego jednak trochę się rozpogodziła.

Moja panienko — odezwał się po chwili łagodniéj — każ przyjść lokajom po mnie. Amelka zapomniała o ojcu.

— O nie zapomniała ojcze — zawołało dziewczę biegnąc szybko aleją: przybiegło do ojca i pocałowało go w rękę. — Spóźniłam się, bo musiałam grać dla pana barona — mama chciała.

Hrabia przy ostatnich słowach córki zrobił grymas niezadowolnienia; wnet się rozpogodził, wyciągnął ręce szukając córki, przyciągnął ją ku piersiom i pieścił się z nią. Twarz jego w téj chwili była mniéj brzydką.

Zaniesiono go do pokoju, gdzie się zebrało całe towarzystwo.

Po herbacie matka z córką poszły do pokoju Amelki. Pokojowa przygotowała posłanie tylko dla guwernantki, o jéj matce zapomniano. — To umyślne zapomnienie dotknęło zbyt mocno kobietę, by mogła milczeć.

— Podli — szepnęła cicho, tracąc cierpliwość.

Ale przybycie Amelki wnet ją pocieszyło. Poczciwe dziewczyniątko chciało nagrodzić złe obejście swéj matki i odstąpiło swego łóżka i zapraszało tak szczérze a nieśmiało, że matka Joanny nie mogła wprost odmówić.

— Połóż się Aniołku — rzekła do niéj — my i tak z córką spać nie będziemy, mamy wiele mówić z sobą.

Nie zdołała ją jednak przekonać. Amelka uparła się spać w karle, oparła główką o poręcz i wnet usnęła. Matka z córką późno w noc rozmawiały. Rano matka pożegnała Joannę i wróciła do Krakowa.

## II.

## Walka.

Pół roku przebyła już Joanna w domu hrabstwa R. — przeliczyła ten czas długiemi chwilami tęsknoty za domem, za matką, przeliczyła go bezsennemi nieraz nocami, płaczem i ciężkiemi próbami. Zależność od takiéj kobiety jak hrabina, była okropną; każde jéj słowo, spojrzenie, postępowanie obrażało do żywego godność człowieczą, raniło każde delikatne uczucie. Hrabina nie przypuszczała pięknych, szlachetnych uczuć w kobiecie gminnego urodzenia, to też deptała po nich bez litości; przypuszczenie jéj do swego towarzystwa uważała za łaskę, a Joanna nie mogła odrzucić téj łaski, owszem

musiała jéj się czepiać jak bluszcz drzewa, bo jako kobieta nie mogła żyć sama, oddzielnie. Stanowisko kobiety w społeczeństwie jest zawsze zależne; zależną jest jako córka, jako żona — samodzielnego stanowiska świat nie znosi, patrzy na nie przez ciemne szkła uprzedzeń. Jeżeli więc los pozbawi kobietę tych rodzinnych podpór, musi obejrzyć się za innemi, oprzeć się choćby na obcych, jeżeli chce uniknąć dwuznacznych spojrzeń, pokątnéj obmowy. W takiém położeniu znajdowała się Joanna. Pozbawiona matki, musiała czepić się czegoś, a choć to raniło i kaleczyło jéj ręce, puścić nie mogła, by nie utonąć w kałuży oszczerstwa. — Przykre położenie takiéj kobiety. Dużo już zdarzyło mi się czytać utyskiwań nad przykrém położeniem nauczycieli domowych, rzadko jednak o guwernantkach. A przecież położenie tych ostatnich o wiele gorsze. Mężczyzna umie walczyć, powinien walczyć z brudotą ludzi, z ich przesądami, narowami — w końcu może wśród ludzi, którzy go nie chcą uszanować jako człowieka, stanąć odosobniony, nie znający ich po za granicą przyjętych obowiązków, odpłacać im pogardą za pogardę, obojętnością za obojętność. Kobieta tego uczynić nie może, walka nie przystoi jéj, odosobnione życie nazwanoby dziwactwem, awanturniczością; musi więc być wciąż z tymi, których nie cierpi, uśmiechać się do ludzi, którzy ją upokarzają i uśmiechem maskować przed ludźmi swoje przykrości. Taką była Joanna. Niczém nie dała poznać hrabinie, że ją boli jéj obejście — znosiła wszystko z uległością, z szlachetną łagodnością i chrześcijańskiém przebaczeniem. Hrabinie zdawało się to postępowanie bardzo naturalne, bo nie pojmowała, żeby guwernantka rościć mogła sobie pretensyje do innego obejścia. — Do tego jeszcze jedna rzecz gniewała dumną panią i podwajała jéj cierpkość względem guwernantki. Joanna mimo bladości była piękną, regularne rzymskie rysy, kształtna postać zwracały uwagę gości bywających w domu hrabstwa. Szczególniéj baron i kilku z sąsiedniéj młodzieży czyniło grzeczności „bladéj Westalce". A hrabina nie bardzo jeszcze stara, miała także chęć podobania się, przywykła od dawna do szumu pochwał, do nadskakiwań i grzeczności — do tego miała córkę już dorastającą, niezbyt ładną. I matka więc i córka traciły wiele w obec guwernantki. Hrabina nie mogła jéj tego darować i wnet dała jéj uczuć swoje niezadowolnienie. Jednego rana przy śniadaniu odezwała się:

— Co panna robisz tak długo po nocach, wczoraj wróciłam do domu po północy i widziałam jeszcze światło.

— Czytałam, bo w dzień nie ma tyle czasu.

— To zależy od tego, jak się go używa. Jeżeli się za przybyciem każdego gościa wychodzi do salonu, bawi się — to czasu braknąć musi.

— Sądziłam, że dla towarzystwa p. Amelci.

— Amelka w salonie ma matkę.

Joanna zrozumiała chęć hrabiny i odtąd rzadko bardzo pokazywała się przy gościach. Było to zbyt widoczném, aby nie miano spostrzedz tego, szczególniéj uderzyło to młodego hrabiego Adama.

Nie mieliśmy sposobności przypatrzyć mu się bliżéj — teraz musimy go poznać.

Hrabia Adam był usposobienia gwałtownego, despotycznego. Przyzwyczajony od dzieciństwa do tego, że go słuchano, że ulegano wszelkim jego kaprysom, wcześnie rozwinął w sobie, a raczéj rozkiełzał wolę. Był w tym względzie podobny do matki, z tą jednak różnicą, że miał serce i duszę skłonną często do szlachetnych popędów. Widzieliśmy go w chwili gdy wzburzony, gniewny wpadł do salonu i spotkał się z spokojném, ale pewném spojrzeniem Joanny. Zawstydził się wtedy chwilowo i zmięszał. Czemu? Tego sobie nie mógł wytłomaczyć i zły był potém na siebie, że zmięszał się na widok jakiejś guwernantki, która raczéj przed nim powinna była zawstydzić się i spuścić oczy. To téż postanowił tę chwilową słabość naprawić pogardą i lekceważeniem. Przeciw tym pociskom Joanna uzbroiła się obojętnością. Prawda, że w pierwszéj chwili hrabia Adam zrobił na niéj dziwne wrażenie, z którego potém sprawy zdać sobie nie mogła, zdawał jéj się wtedy zupełnie inszym jak potém, jakieś błyskawicowe światło rozjaśniało na chwilę najgłębsze, najpiękniejsze przepaści jego duszy i ciągnęły ją ku sobie; dziś tę przepaść zasypał gruz i śnieg i patrzała na niego obojętnie — nie uważała na niego. To obraziło dumę panicza, jego miłość własną. Chciał tę powagę i spokój zburzyć, zranić ją, aby usłyszeć krzyk jéj duszy, aby wymódz prośbę z ust zaciśniętych, próbował naprzemian obojętności, ironii, opryskliwości, ale napróżno — Joanna zdawała się nie widzieć, nie słyszeć, nie uważać, była grzeczną, łagodną, ale spokojną i obojętną. Była to walka dusz, która poczęła się skrzyżowaniem spojrzeń przy pierwszém widzeniu. Hrabia Adam uczuł się powtórnie zwalczonym. Z dzikiego, gwałtownego, stał się dla niéj łagodnym, uprzejmym; ale i tem nie zmienił postępowania guwernantki — taktownem obejściem trzymała go zdaleka od siebie. Hrabia nieprzyzwyczajony był do tego, to téż nieraz targał więzy, któremi go krępowała dusza téj kobiety, rzucał się, wybuchał, wyjeżdżał z domu — to znowu wracał i szukał jéj towarzystwa, żebrał jednego spojrzenia łaskawego; ale napróżno. Joanna unikała go i czy to po obiedzie czy po herbacie, wracała zaraz do swego pokoju. Raz podczas takiego wyjścia hrabia Adam przygryzł wargi i szukał w głowie sposobów, jakby ją napowrót sprowadzić.

— Czy nie przywieziono dziś gazet z poczty — spytała hrabina.

— Są u mnie.

— Przeczytaj nam co.

— Może nie będę mógł, bo mnie gardło boli. Ale trzebaby guwernantki zawołać, niech nam czyta.

— Prawda — i tak mało z niéj mamy wygody.

Zadzwoniła — Adam tymczasem wyszedł do siebie po gazety. Gdy wrócił, zastał już Joannę czekającą przy oknie. Z tryumfującą miną i szyderczym uśmiechem podał jéj pisma i usiadł naprzeciw. Joanna ani spojrzała na niego, z uległością poczęła czytać — głos jéj słaby wnet się zmęczył i cichnął. Adamowi żal się zrobiło, zdawało mu się, że w tym głosie czuł łzy.

— Pozwól pani, ja będę czytał.

— Ciebie gardło boli — rzekła matka — nie pozwolę na to. Wszak tak krótkie czytanie nie powinno panny umęczyć.

— Wcale nie jestem zmęczona — odrzekła Joanna i czytała daléj. (Ciąg d. nast.)

---

## Napis na książce.

(Z HAJNEGO.)

W róże pachnące i w cyprys dumny
Chciałbym książeczkę tę ubrać ładnie,
Jak się ubiera umarłych trumny,
I pokłaść piosenki me na dnie.

Gdybym i miłość pogrzebać mógł z niemi!
Na grobie dla innych choć może
Wykwitnie spokoju kwiat z ziemi —
Dla mnie zakwitnie, gdy w grób się położę.

Ot leżą pieśni, co jak lawa wrząca,
Gdy z Etny bucha, z piersi méj się lały,
Z głębiny piersi gdy była gorąca —
Błyskały skrami — jak gwiazdy migały.

A teraz leżą jak umarli w ziemi
Jako mgły białe zimne, tak grobowo;
Lecz gdy miłości duch stanie nad niemi,
Pieśni ożyją — zapłoną na nowo.

O ja przeczucie mam, że kiedyś stanie
Ten duch miłości mojéj po nad niemi,
Że się książeczka ta kiedyś dostanie
W rączki twe luba gdzieś w dalekiéj ziemi.

Wtedy powstaną te pieśni rozliczne,
Martwe litery ożyją z radości,
I patrząc z prośbą w twoje oczy śliczne,
Będą mówiły ci o méj miłości.

---

## Manon Phlippon Roland.

(Życiorys.)

(Ciąg dalszy.)

Zaprawdę, gdyby jakieś prorocze widzenie, jakieś zwierciadło czarodziejskie było jéj naprzód ukazało jéj karyjerę polityczną tak krótką, a tak pełną wypadków, jéj poselstwa do papieża i króla z głębi skromnego gabinetu, jéj pojawianie się przed kratkami zgromadzeń zawsze przyjmowane oklaskami — a na zamknięcie dramatu ją samą w sukni białéj, z włosem rozpuszczonym, wstępującą triumfalnie na gilotynę; gdyby była mogła wybierać, nie cofnęłaby się z pewnością, byłaby przeniosła to przeznaczenie wojujące nad jakieś ukryte szczęście przy kominku. A jednak poznaliśmy, że tam było w niéj usposobienie i warunki do domomowego szczęścia. Tém więcéj cenić należy patriotyczną jéj gotowość do ofiarnego życia.

Lecz ta jéj rola, jakże różną jest od owéj Krystyny szwedzkiéj, która kiedyś dla rozbudzonéj duszy ideałem się zdawała. Przytomność umysłu, nauka, niezmordowana czynność to jedyne wspólne im przymioty. Po za tém zupełne przeciwieństwo charakterów. Krystynę pochłaniają polityczne zajęcia, studyja robią ją wielojęzyczną sawantką, wstrętne jéj wszystko co tylko domowém, serdecznem ciepłem trąci, najwstrętniejsza dla niéj myśl pójścia za mąż. Postać jéj wspaniała, ale zimna, dumna, usposobienie nie naturalnie wytężone, brak zadowolnienia wewnętrznego, brak rosy niebieskiéj — ona nigdy nie płakała. Ten niespokój rzuca ją gorączkowo w politykę, i znowu sprowadza z tronu, rzuca ją w sprzeczki religijne, a potém wiedzie do Rzymu; awanturuje się po bibliotekach i akademiach, trawi ją gorączka, życie jéj na pozór pełne, ale w istocie czcze, puste. „Kobieta“, którą w sobie przytłumiła, zemściła się nad nią — życiu jéj brak wszelkiego uroku, poezyi, ciszy, spokoju i miłości. A nasza *Manon* przeciwnie: to prawda i natura z jednego odlewu; to kobieta.

Z pani *Roland* chciano zrobić wzór jakiejś kobiety przyszłości, silnéj, republikańskiéj, będącéj bodźcem dla męża, równéj mu lub wyższéj, zastępującéj szlachetną i jasnowidzącą rzutnością, trwożliwość i poddanie się dziewicze. Były to zdania himeryczne i ambitne. Kobiety takie, jak pani *Roland*, potrafią zdobyć sobie w społeczeństwie miejsce przewodnie; — lecz stanowisko ich zawsze wyjątkowém pozostanie. Nie ulega wątpliwości, że wychowanie zdrowsze i na pewniejszych podstawach oparte, że większe zrównanie się majątków, że małżeństwa coraz więcéj odpowiednie prawdziwym konwenansom, to jest, wzajemnym wymaganiom oświaty i charakteru, zbliżać będą coraz więcéj i stowarzyszać żonę z mężem i zacierać różnice przymiotów duszy i umysłu; lecz nie idzie zatém, żeby należało lub można przekształcać dawne cnoty i wdzięki duszy kobiecéj;

owszem tém więcéj trzeba je przechować. A ktoby chciał przytaczać panią *Roland*, niech nie zapomina, że ona nie zaniedbywała nigdy tych drobiazgów wdzięcznych, które jéj były wspólne z całym jéj rodzajem; i że ten geniusz, który bądź co bądź wypłynął na wierzch i nieraz się narzucał nawet — nie każdéj dany, że należy tylko do niéj samej i nie może bez złudzenia stanowić powagi i mody dla drugich.

Poznaliśmy więc charakter domowy i publiczny pani *Roland*. Na tych dopiéro podstawach możemy się rozpatrzyć w jednéj jeszcze części obrazu, w jéj stosunkach osobistych; możemy się przyjrzeć najtajniejszym tajnikom jéj duszy, zrozumieć je i uwierzyć im.

(Ciąg dal. nast.)

---

## Kronika krakowska.

Dwadzieścia lat właśnie w tym roku minęło, jak burza polityczna potargała pierwsze zawiązki opery polskiéj w Krakowie — odtąd słyszeliśmy opery tylko w niemieckim języku i to sporadycznie, dopiero teraz niezmordowana wytrwałość p. Dunieckiego zrobiła to, co na pozór zdawało się niepodobieństwem. Pierwsze przedstawienie „Halki“ możnaby nazwać arcydziełem muzycznem pana Dunieckiego, bo niém przywiódł do harmonii najprzeciwniejsze i najbardziéj niechętne głosy i zmusił je do śpiewania pochwalnych hymnów. — Nam, którzyśmy z bliska przypatrywali się z jakiémi trudnościami miał do walczenia p. Duniecki, jak sam z niczego musiał stwarzać wszystko, jak wszystko było w opozycyi przeciw niemu od palacza w piecach do samej dyrekcyi i odmawiało swéj pomocy, zostawiając starania się o najmniejsze drobiazgi — na jego barkach, dziwić się przychodzi, zkąd zaczerpnął tyle siły i zapału do przeprowadzenia swéj myśli; jak również dość naiwnem nam się wydawało ogłoszenie dyrekcyi o wielkich wydatkach, w skutek których nastąpiło podwyższenie cen. O ile wiemy oprócz kilku par butów, paru kontuszów, (o które dawniéj już należało się postarać) i ubiorków do „błękitnego mazura“ dyrekcya o żadnych wydatkach wiedzieć nie chciała, nawet o pensyi dla śpiewaków, wychodząc zapewne z téj zasady, że głodny cienko śpiewa.

Pierwsze trzy przedstawienia „Halki“ powinnyby dyrekcyją przekonać, że dość znaczne nawet wydatki na operę wrócą się z grubą nadwyżką. Za każdym razem rozrywano sobie bilety, teatr był przepełniony, ale bo też wykonanie poszło nad spodziewanie. Ci którzy słyszeli „Halkę“ w Warszawie, jednogłośnie przyznają, że wykonanie jéj u nas mało pozostawia do życzenia. Pan Niedzielski (Janusz) w rozległości i wdzięku głosu nie ustępuje wcale Kelerowi, a chóry nasze złożone przeważnie z łaskawych amatorów, (którym się publiczne należy podziękowanie) o wiele wyżéj stoją od warszawskich.

Nie będziemy wdawać się w bliższe ocenienie saméj opery — w artykule o St. Moniuszce czytelniczki nasze zapoznały się z jéj treścią i celniejszémi ustępami, zwrócić tylko musimy uwagę na artystyczny układ téj opery — poeta i kompozytor tak szczęśliwie umieli rozporządzać bogactwem efektów i melodyj, że ku końcowi nie tylko nie nuży słuchacza, ale owszem niesłychanie potęguje uwagę i coraz wyższe budzi zajęcie.

Początek opery a raczéj cały pierwszy akt jest czysto szlacheckiego zakroju — ów świetny polonez choru, śpiew stolnika pełen animuszu i szczérości staropolskiéj i wesoły mazur nie pozwalają się zrazu domyślać owych smętnych ludowych melodyj, owego ciemnego kolorytu smutku, w jaki obleka się dalsza akcyja — wszystko tu wesołe, roztańczone, jasne; jedynie w śpiewie Janusza czuć rozstrój, nieszczérość i lęk nieczystego sumienia. Naraz wesołość tę zmąca bolesny śpiew obłąkanéj dziewczyny odzywający się za sceną;

„Jako od burzy krzew połamany“ itd.

śpiew kończący się krzykiem wzruszającym duszę. To śpiew Halki, to skarga ludu rzucona przeciw szlacheckiemu sumieniu. Z tą pieśnią wchodzi na scenę pierwiastek ludowy smętny, dumkowy i cała opera przybiera już przeważnie ten charakter. W drugim akcie niby dalekie echo słychać jeszcze kilka taktów poloneza, ale te wnet giną wśród rzewnych melodyj. Śpiewy Halki, Jontka występują teraz na pierwszym planie; zamiast chórów szlachty słyszymy chór górali, który szczególniéj w trzecim akcie występuje w całéj sile. Trudno wyobrazić sobie coś bardziéj prostego, pojedyńczego a zarazem głębokiego, jak ten chór ludu zrywający się czasami na wesołą melodyję i znowu spadający w ponury pomruk przy wspomnieniu, „że jutro znowu dzień roboczy“ — albo litujący się nad uwiedzioną dziewczyną: „biedna Halka jak zmieniona!“

Ale koroną całéj opery jest dopiero akt czwarty i śpiew i akcyja i dekoracyje składają się na to, by zachwycić oczy, uszy i duszę. Scena przedstawia krajobraz górski — w głębi rzeka płynąca wśród skał — nad nią rzucona kładka — na przodzie sceny po prawéj stronie kościół na wzgórku z cmentarzykiem otoczonym sztachetkami, obok figura Matki Boskiéj, przed którą lampa się pali. Nad tą całą smętną dziką okolicą — księżyc. O księżycu dowiadujemy się tylko z tekstu, na scenie oszczędność zarządu teatralnego przedstawiła nam księżyc na nowiu i tylko w chwili, gdy światła księżycowego koniecznie potrzeba, kadzi śpiewającéj Halce dymem bengalskiego ognia, co może być zdrowém dla kieszeni zarządu, ale nigdy dla artystki. Akt czwarty rozpoczyna się znaną już powszechnie pieśnią Jontka: „szumią jodły na gór szczycie“, w któ-

réj niekochany kochanek skarży się w samotności na dziewczynę, co nad niego przeniosła niewiernego panicza. Zdawało się, że Moniuszko w téj pieśni popełnił gruby błąd przeciw prozodyi, akcentując ostatnią zgłoskę, tymczasem rzecz się ma przeciwnie, ten niby błąd stanowi właśnie charakter pieśni górskich, w których akcent najczęściéj pada na ostatnią. — Po téj pieśni następuje prześliczny sekstet i chór, o którym było w artykule o Moniuszce. Następnie cały orszak weselny przechodzi do kościoła, zostawując Halkę z jéj rozpaczą. Scena ta jest najefektowniejsza z całéj opery — w niéj pani Gruszczyńska rozwija całą potęgę gry i śpiewu. Najobojętniejszego słuchacza musi oczarować i porwać ta scena, każe mu zapomnieć o sobie, z takiém przejęciem, z taką prawdą uwydatnia artystka deklamacyją i gestem boleść dziewczyny szarpanéj burzą rozpaczy. Tragiczny spokój w jakim widzieliśmy dotąd bladą twarz Halki, łamie się w namiętną chęć zemsty nad Januszem, którego ślub w téj chwili odbywa się w kościele. Ten ślub, wspomnienie zmarłego dziecka, niewiara kochanka, miotają strasznie górską dziewczyną.

„Ja zemszczę się, ja serce z piersi wydrę ci“ — woła groźnie. Pani Gruszczyńska oddaje tę namiętną, gwałtowną scenę z taką siłą, że zdaje się, iż ją ta burza uczuć potarga i zniszczy, drobne jéj rączki drgające konwulsyjnie w chwili groźby, sprawiają podobne drganie w sercach widzów. Tu kulminacyjny punkt i przesilenie. Halka chwyta głownię, zapala ją od łampki płonącéj przed obrazem i leci podpalić kościół. W téj chwili odzywa się poważny głos organów i śpiew ludu w kościele. Halka cofa się, głownia wypada jéj z rąk, skruszona klęka przed obrazem i śpiew jéj łączy się ze śpiewem ludu. Blask księżyca (bengalskiego ognia) opromienia przemienioną. Twarz artystki przed chwilą wzburzona i groźna, układa się w jakiś anielski, uśmiechnięty spokój — wewnętrzne uszczęśliwienie, jakie daje religija, artystka umie do podziwu wyrazić na twarzy. Zdaje się, że to nie ta sama twarz, którą widzieliśmy w trzecim akcie bladą, znękaną, zbudzoną. I śpiew jéj ostatni: „Jażbym cię miała zabić mój drogi — Jaśka i pana mojego“ — śpiew podobny do tryumfalnego marszu, tchnie również szczęściem duszy, która się zdobyła na przebaczenie. Gra artystki i czar muzyki sprawiają, że ostatnia scena samobójstwa wcale nie robi przykrego wrażenia, owszem widz zdaje się ucieszony, że ta dziewczyna pojednana ze sobą i ze światem, w téj chwili przestała cierpieć. Ludzie wychodzący z kościoła, rzucają się ratować tonącą i trupa jéj przywożą na brzeg w chwili, gdy orszak kościelny wychodzi z kościoła. Trup dziewczyny przegięty na krawędzi łodzi, oświecony księżycem — Janusz osłupiały z przerażenia stojący na skale i tłum ludu, stanowią prześliczny żywy obraz na zakończenie.

Szkoda że dyrekcyja poniosłszy (jak nam głoszą afisze) znaczne nakłady na przedstawienie „Halki“, nie postarała się o jaką-taką harfę, która w ostatnim akcie jest niezbędną, a któréj fortepiano nigdy nie zastąpi; boć wstyd jest, że dyrekcyja na to zdobyć się nie może, co lada szląska harfiarka posiada — tj. na własną harfę.

## ROZMAITOŚCI.

**Maszyna do szycia.** Niema dziś w całéj Europie znaczniejszego miasta, w któremby nie znajdował się skład maszyn do szycia, a ajenci wielkich fabryk krążą po wszystkich krajach cywilizowanych, ułatwiając nabycie tych użytecznych przyrządów. Pochodzą one z Ameryki, wynaleziono je w r. 1846, późniéj znacznie udoskonalono. O ich praktyczności świadczy najlepiéj ilość i ogrom fabryk, które ich dostarczają. Fabryki *Wheclera* i *Wilsona* wyrabiają ich 200 w ciągu jednego dnia. W sześciu latach sprzedały ich 96,359 sztuk. Zalecają się one pięknością i dokładnością szwu, zupełnie jednakowego po obu stronach, który przytém ani się nie strzępi, ani nie rozpuszcza. Robota na nich idzie łatwo i szybko. Obliczono i sprawdzono iż dobrze obeznana z maszyną, jest w możności uszyć męzką koszulę w czasie 1éj godziny i 16tu minutach, frak w 2ch godzinach 38miu minutach, jedwabną suknię w 1éj godzinie 13tu min., perkalikową w 57miu min. — W jednéj minucie szyjąc cienką bieliznę, można zrobić ręką 23 ściegi, podczas gdy w tym samym czasie maszyna robi ich 640. W Warszawie jest już kilka składów tych maszyn.

— Piszą nam z Warszawy, że tam przygotowano już wiele rzeczy na wystawę paryską z pola przemysłu i sztuk pięknych. Fotografija i krawiectwo, ogrodnictwo i mechanika wyprzedzają się na wyścigi — a wystawa warszawska sztuk pięknych posiada już cztery obrazy, zaopatrzone legitymacyjno-pretensyonalnemi kartkami z napisem: „Na wystawę paryską“. Są to obrazy: Suchodolskiego, Kossaka, Gersona i Kostrzewskiego. Pierwszy przedstawia „Ucieczkę Kara Mustafy z pod Wiednia“ po przegranéj w r. 1683; — drugi: „Jarmark koński na Pradze“; — trzeci: „Apostolstwo germańskie w Słowiańszczyznie nadodrzańskiéj; — a czwarty nareszcie: „Odpust wiejski na Mazowszu“.

— Tenże korespondent nam donosi o nowym poemacie Deotymy, dotąd nieogłoszonym, p. t. „Poemat o kwiatach“, który jak mówią ci, co go słyszeli, ma być prawdziwém arcydziełem kunsztu pisarskiego.

— Do kalendarzy, które sobie zyskały już prawo obywatelstwa, policzyć także trzeba Kalendarz dla Rodzin katolickich, istniejący już od lat czternastu — wydawany dawniéj przez W. Wielogłowskiego a teraz prowadzony daléj przez Jaworskiego. Oprócz części astronomicznéj i kalendarskiéj zawiera on ładny urywek z poematu Bogdana Zaleskiego: „Księżna Hanka“ — wiersz Syrokomli — i powiastkę p. t. „Kara Boża“.

— Nakładem tegoż księgarza wyszły: „Opowiadanie Pielgrzyma czyli Przewodnik do ziemi świętéj“ przez ks. Tyburcy. Opowiadanie to pełne prostoty, humoru a zarazem zdrowych poglądów i trafnych uwag — nie tylko dla osób chcących zwiedzać Palestynę, ale i dla tych, którzy tylko myślą mogą podróżować w tamte strony, miłym może być przewodnikiem.

W téjże księgarni wyszla książeczka p. t.: „Przygody Wandzi“, powiastka dla dzieci, która przy zbliżającéj się kolendzie miłym może być upominkiem dla dzieci.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się **nuty „Dwie pieśni“.**

Odpowiedzialny redaktor i nakladca Tadeusz Wojciechowski.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. 1866.